DUBLET nr 1-5

Ner 1. Kraków, 8go Stycznia. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Szczerość w Niewieście polskiej.

Paradoksalna pogadanka.

Pomiędzy zarzutami jakie czynią kobietom w ogólności, najpierwsze prawie miejsce zajmuje: brak szczerości... Tomy niezliczone pospisywali w tej mierze i uczeni i nieuczeni, powołani i niepowołani — ze stanowiska filozoficznego i fizyologicznego — ludzie płytcy i głęboccy, ludzie z głową i sercem, równie jak i ci, którzy się jakoś obchodzą bez jednego i drugiego, twierdząc, że głowa jest zbytkiem a serce ciężarem.

W ostatecznym rezultucie to jest pewnikiem, że nieszczerości, skrytości i obłudy uczą kobietę, zwykłe ich wychowanie, i całe ich niemal położenie społeczne. Że jak jedno tak i drugie nadaje kobiecie fałszywy kierunek, zaprzeczyć trudno.

Od małego dziecka, rodzice, nauczycielki, i wszystkie ich stosunki społeczne pchają dziewczynie do głowy niezliczone mnóstwo prawideł fałszu i obłudy.

I tak nie powiedzą dziewczęciu:

— Bądź taką lub owaką!...

Ale powtarzają codzień:

— Wydawaj się taką lub owaką!...

Zamiast nauczyć:

— Bądź dobrą zawsze!...

Kładą w ucho bez końca:

— Bądź grzeczną zawsze!...

I uczą dalej, gdy dziewczę podrastać zaczyna:

— Ukrywaj jak najtroskliwiej uczucia swoje!...

Serce dziewczęcia obwarowują wszystkiemi najfałszywszemi rozumowaniami wstydu fałszywego, by się broń Boże, nie przyznało do najserdeczniejszych uczuć swoich.

— A pfe!... — szepcą jej od rana do wieczora. — Że kochasz, nie przyznaj się nigdy. Niema większego wstydu i większego niebezpieczeństwa jak przyznać się przed kochającym.

— Trzymaj go do ostatka w niepewności, bo jak będzie miał pewność, przestanie dbać o ciebie, i wyśliźnie ci się niegodziwiec jak piskorz.

Dodają do tego różne inne równej wartości moralnej nauki:

— Głupstwo miłość!... głupstwo serce!... sens moralny jest dobre za mąż pójście.

Do czego wychowanie i społeczeństwo powiadają jeszcze kobiecie:

— Największe nieszczęście zostać starą panną!...

A więc wedle tych nauk wszystkich życie dziewczyny niema być czem innem, jeno jedną ciągłą nieustanną wyprawą na zdobycie męża.

— Na drodze szczerości nie zdobędziesz go!... By go zdobyć, wszystkie środki dobre!... Miej tylko rozum, to jest: Udawaj!.... bądź obłudną i skrytą!.... graj komedyę!...

Społeczeństwo zaś, przez usta przyjaciółek i głosem własnych doświadczeń, doda jeszcze:

— A choć już męża zdobędziesz, to i do ślubnej komnaty wnieś z sobą skrytość i obłudę. Abyś zdobytego nie straciła męża, graj dalej, graj ciągle komedyę!... bądź aktorką całe życie!...

To jest smutne!... okropne!.. ale prawdziwe niestety, po większej, i bardzo większej części.

Społeczeństwo trzyma się nawet w tem rozumowaniu logiki dość ścisłej, bo nie bez słuszności powiada:

— Prawa społeczeńskie zrobiły kobietę podrzędną częścią całej ludzkości!... zrobiły ją podległą!... niewolnicą prawie. Niewolnikowi każda broń przystoi!... Niewolników jedyną bronią jest skrytość i obłuda.

Przy takich naukach, dziwić się nie można nawet, an też czynić kobiecie z tego zarzutu, jeżeli nie jest zawsze szczerą, a często gęsto jest obłudną!... I po większej części są niemi w rzeczy samej kobiety wszystkich narodów.

A przecież z przyjemnością a dumą przyznać to sobie możemy, że... mimo wspólnych i nam wad wychowania kobiecego i układu społecznego, nasze niewiasty polskie mają w sobie wiele szczerości prawdziwej i serdecznej. Pochodzi już to głównie z naszego charakteru narodowego, którego cechą jest zapał, co... podobny do burzy oczyszczającej powietrze z wszelkiej zgnilizny, nie daje się rozszerzać fałszywym rozumowaniom!.... Jest u nas pewna samowolność uczuciowa, która obłudy znieść nie może, obłudzie nawet wyrość nie da. Przeciwnie nawet, przechodzi często w zbyteczną, naiwną prawie szczerość, na której jak musieliśmy nieraz źle wychodzić, dowodzi najlepiej nasze przysłowie:

— Mądry Polak po szkodzie!...

Ta szczerość uczuciowa u niewiast polskich dochodzi nieraz do prawdziwego bohaterstwa, gotowego do poświęceń i to zarówno — przepraszam za paradoksalną tego orzeczenia formę — w dobrem jak i w złem!...

Wygląda to tylko na paradoks moje piękne panie, ale nie jest nim wcale, i w tem właśnie jest dowód najsilniejszy tego twierdzenia mego, że:

— Z pomiędzy kobiet niewiasty polskie najwięcej mają szczerości, bo mimo błędów wychowania i wadliwego układu społecznego nie potrafią być obłudnemi, tam nawet, gdzie obłuda mogła by je ratować przed chwilową obmową, albo nawet przed ostatecznem potępieniem.

Potrzebuję się tu jaśniej wytłomaczyć. A nie chcąc wdawać się w długie, a tem samem nudne wywody,

wolę myśl mą przeprowadzić przez porównanie w danych przykładach.

Balzac, sławny powieściarz francuski, a jeszcze sławniejszy znawca serc ludzkich w ogólności, a w szczególności serca kobiecego, którego najtajniejsze zadrganie jest mu jasnem i znanem — napisał pomiędzy innemi: Fizyologię małżeństwa (La phisiologie du mariage). Jest to ciekawy bardzo zbiór pełnych sprytu i dowcipu aforyzmów, w których sformułował autor wszelkie trudności i niebezpieczeństwa stanu małżeńskiego. Ma to być właściwie książka podręczna dla wszystkich małżonków, którzyby w niej znaleść mogli na podorędziu w każdym razie danym środki ratowania się od tych wszystkich niebezpieczeństw, jakie grożą im falangi próżniaczej młodzieży, puszczającej się na uwodzenie kobiet.

Pomiędzy innemi następującą robi uwagę, temi lub innemi słowy — bo uwagę tę jego przytaczam wiernie, ale z pamięci. Mówi do męża:

— Jeżeli żona twoja zaprzestanie nagle wszelkich kaprysików, któremi cię dawniej zabawiała, i z opryskliwej staje się słodziutką, potulną, usłużną, dbałą o ciebie, a nierówny swój humor, do kwietniowej pogody podobny, zmieni nagle w cudny dzień majowy!..... drzyj biedny, zewsząd nieprzyjaciołmi obsaczony mężu!...' bo albo grozi ci bardzo bliskie niebezpieczeństwo, albo co gorzej nieprzyjaciel jest już w obozie!....

Jest w tej uwadze prawda niezaprzeczona; prawda wszakże względna, bo tylko w zastósowaniu do charakteru kobiet francuskich.

Prawdę tę francuską, z pewną delikatnością i elegancyą form ucieniowaną, znajdziemy jeszcze dobitniej odznaczoną w niemieckim narodzie.

Weźmy taką Niemkę kłótliwą i zrzędną, która zresztą nią być musi, bo część dnia większą przepędza przy gospodarstwie domowem, warząc w kuchni codzienny obiad dla swego pana i męża, zatopionego po uszy w szlafmycę i kancelaryjną pracę. Nagle zmienia się. W kuchni cicho i spokojnie; prócz sznyclowej siekaniny i rozbratlowego tłuczenia żadnego nie słychać głosu. Imość uśmiechnięta i słodsza od rodzynków, któremi szpikuje ulubiony strudel mężowski, piecze się w kuchni, a spieszy, a przyprawia tak staranuie i smacznie, że gdy przyjdzie na stół ten sztrudel pulchny, rumiany i łyszczący, raduje się i skacze z wielkiej wesołości szlafmycowa i biurokratyczna dusza pana małżonka. A że jako syn wielkiej germańszczyzny ma rozum praktyczny, więc nie głupi łamać sobie głowy nad tą zmianą tak korzystną czułej małżonki. Ani mu to przyjdzie na myśl, że w kuchennym fartuszku małżonki spoczywa tylko co ręką jeszcze zmączoną włożony bilecik słodziutki od młodego aplikanta lub lejtenanta, i że poczciwe jej a wielce romantyczne serce nie może przenieść na sobie, by mężowi stratę miłości i wiary nie wynadgrodzić smaczną kapustą, lub tłustym knedlem.

Wszakże w szczęśliwej germańskiej ojczyźnie, sławnej na punkcie głów i żołądków przepaścistych, w które tak radzi jej synowie pakować, co im tylko pod palce wiezie — zdarzają się w tej mierze mężowie tak praktyczni, że się po tej drodze wznoszą aż do filozoficznej prawd absolutności... Jeden to z pomiędzy nich, jakiś hof-komercial, czy choć forst-rath, rozkołysany szczęściem kilkomiesięcznem, co mu małżonka w smacznych kąskach udzielała, gdy mu razu jednego podano przepaloną pieczenię, kiwnął głową melankolicznie, poskrobał się w nią patetycznie, i rzekł sam do siebie:

— Moja Wilhelmina musiała się pokłócić z swoim aplikantem.

Odrzuciwszy wszelki żart i dowcip na stronę, tak się dzieje w rzeczy samej we Francyi i w Niemczech. Hypokryzya i obłuda w tym rodzaju rozpościerają się wolno i swobodnie po tamtejszych kołach rodzinnych.

Francuz nucąc jakąś nutę wodewilową w takim razie powie sobie:

— *Pas si bête!*...

A Niemiec wyrzecze z powagą myśliciela głębokiego.

— *Da wär ich ein Esel!*...

I pod płaszczykiem przyzwoitości wciska się do rodziny najobrzydliwsza demoralizacya nieszczerości fałszu i obłudy.

Owóż w charakterze naszych niewiast tej niema obłudy. W przewinieniu nawet zostaje zanadto prawdziwą, za nadto — że się tak wyrażę — szlachetną; i dla tego łatwiej u nas o szkandal może, niżeli o tę tajoną zaraźliwą, rodziny demoralizującą i niszczącą leprę hypokryzyi zepsucia!.... Kobieta jeżeli zbłądzi nawet, to tylko siebie poświęci, siebie samą uczyni nieszczęśliwą, ale honoru męża i spokoju rodziny na haniebny szwank nie wystawi. I dla tego też właśnie błędy podobne u nas są daleko rzadsze, bo łatwiej jest grzeszyć potajemnie, niżeli jawnie.

Jest to rys obyczajowy nasz własny, a niezaprzeczenie prawdziwy. Na dziś przestaję na tem krótkiem naszkicowaniu; później wszakże wrócę może jeszcze do tego samego przedmiotu.

(9).

Krystyna,

Królowa szwedzka.

Pani ta, należąca do dynastyi Wazów, która nazwę swą wzięła od zamku rycerskiego Waza, położonego w prowincyi *Upland*, o trzy mile od Sztokholmu, była jedynem dziecięciem Gustawa Adolfa IIgo, w małżeństwie z Maryą Eleonorą, księżniczką brandenburgską, więc wnuczką Karola, księcia Sudermanii (młodszego brata króla Jana IIIgo Wazy, męża Katarzyny Jagiellonki i ojca naszego Zygmunta IIIgo), prawnuczką Eryka XIV, a pra-prawnuczką Gustawa Igo Wazy, założyciela dynastyi, ktora na losy miłej ojczyzny naszej z jednej strony w przyjaznych — a z drugiej w najnieprzyjaźniejszych zamiarach najszkodliwiej wpłynęła.

Wstąpienie na tron polski Zygmunta IIIgo (1587) a raczej wypowiedzenie mu ze strony Szwecyi posłuszeństwa i wstąpienie na jej tron stryja, u nas Sudermanem zwanego, (1600—1604) zawikłało nas z tą ostatnią w wojny, które rzeczpospolitą naszę trapiły aż po sam jej schyłek, bo po bitwę pod Pułtawą (na Ukrainie zadnieprskiej (1709 r.)— a w skutkach dalszych aż nawet po poddanie się Gdańska Munichowi 1734 r. zaczem Stanisław Leszczyński z Polski powtórnie ustąpił, i już Augustowi IIIciemu nie przeszkadzał.

Urodziła się Krystyna d. 6go grudnia 1626 r. Bohatyr ojciec dawał jej, o ile to w dziecięcym wieku być mogło, męzkie wychowanie, jako następczyni tronu, a gdy w r. 1630 wybierał się na wojnę niemiecką, i zdawał się zgon swój przeczuwać, postarał się, że zebrane w Sztokholmie stany uznały ją za przyszłą królestwa monarchinią, i dopiero czteroletniej przysięgę wierności złożyły. Stało się to zaś dla udaremnienia wszelkich przewidywanych i możliwych usiłowań polskich Wazów o odzyskanie dziedzicznem prawem należącego im się naj-

niewątpliwiej tronu szwedzkiego. Po istotnie zaszłej śmierci bohatyrskiego obrońcy reformacyi pod Lützen (6go listop. 1632 *), wstąpiła sześcioletnia dopiero Krystyna na tron, mając sobie nadanych za opiekunów od stanów państwa najwyższych pięciu koronnych urzędników, którym oraz rządy królestwa rzeczone powierzyły stany. Dalsze wychowanie dawano Krystynie bez odstąpienia od planu Gustawa Adolfa, jakoż, obdarzona żywą wyobraźnią i najosobliwszą pamięcią, bardzo wielkie czyniła postępy w naukach — a mianowicie obeznała się dobrze z starożytnemi językami, z historyą, geografią i polityką, którym się z taką oddawała gorliwością, że o rozrywkach, właściwych swemu wiekowi, ani nigdy nie pomyślała nawet. Lecz ten kierunek w najpierwszej młodości nie mógł nic stać się źródłem różnych dziwactw w jej postępowaniu i charakterze, które coraz to bardziej na jaw wychodziły. Nie miłym był dla niej strój niewieści, i nie rada go przywdziewała, wolała się stroić po amazońsku, lubiła konną jazdę i łowy, a w żadnem (i największem nawet niebezpieczeństwie) nietraciła przytomności umysłu. Także zwyczajom dworskim nie chętnie się poddawała. Z otaczającymi ją obchodziła się to za nadto poufale, to zanadto pańsko, a nieraz niemiłosiernie i pogardliwie nawet. Kanclerza Oxenstiernę czciła zrazu jakby drugiego ojca; od niego też powzięła znajomość rządów, i w radzie państwa wnet takiej dojżrałości rozumu dowiodła, że to opiekunów jej aż w podziwienie wprawiło.

Już w 1642, (a zatem w 16tym roku życia królowej) stany państwa chciały jej oddać zupełne rządy; lecz nie przyjęła ich, wymówiwszy się młodością, i dopiero po upływie dwóch lat pochwyciła za nie. Początki samodzielnego jej panowania odznaczały się wielką łatwością w dokonywaniu spraw, i niczem niewzruszoną stałością w przedsięwzięciach. Rozpoczętą z Danią wojnę zakończyła 1644 r. i pozyskała, na mocy traktatu w Brömsebro (1645 r.), kilka prowincyj. Potemu przyspieszyła zawarcie pokoju z Niemcami wbrew zdaniu Oxenstierny, który dalszem prowadzeniem wojny spodziewał się dla Szwecyi osiągnąć większe korzyści — a uczyniła to królowa dla tego, aby — idąc za skłonnością swoją — mogła się bez przeszkody poświęcać naukom i sztukom, które jedynie w pokoju kwitną. Jak talenta i polityczne okoliczności powodowały ją do odgrywania niepospolitej roli na północy, tak zdawało się przez pewny przeciąg czasu, że istotnie nie pożałuje usiłowań, aby się ze spodziewaną ztąd sławą rozminąć nie mogła; jakoż przyczyniła się do ożywienia handlu nie jedną stósowną ustawą, i spowodowała lepszy stan zakładów naukowych i literackich. Nie ukrywał więc naród swojej dla królowej przychylności i pragnął cały, aby weszła w związki małżeńskie; lecz Krystyna nie myślila o nich z powodu zbyt wielkiej niepodległości umysłu. Po śmierci pierwszej swej żony Cecylii (1643) starał się o rękę królowej szwedzkiej nasz Władysława IVgo, oczywiście w bardzo korzystnych dla Polski i swojej dynastyi widokach; lecz szwedzka królowa nietylko im się nie pokazała przychylną, ale wbrew im przeciwnie działając, skłoniła w 1649 r. stany państwa do uznania następcą swoim spokrewnionego z sobą palatyna Dwumostów: Karola Gustawa, odznaczającego się charakterem, rozległemi wiadomościami i wielką roztropnością, pomimo, że i jego ręki ofiarę sobie uczynioną stanowczo była odrzuciła. To zdziaławszy, zarządziła (1650) iż ją z wielką okazałością ukoronowano.

*) Kiedy u nas właśnie 36letniego Władysława IV Wazę, wolnemi głosami na króla obrano.

Odtąd zmieniła w sposób uderzający w oczy swoje postępowanie, nakłaniała uszy radom ambitnych faworytów, takich właśnie jak Tott, de la Gardie, Piementelli i t. d.; intrygi, wynikające z nikczemnych namiętności, niedozwalały jej myśleć o pożytecznych i szlachetnych usiłowaniach, które dawniej nie były jej nie zwykłemi; rozrzutność wyczerpała publiczny skarb; nagrody i godności dostawały się nikczemnikom; a ze zaździości nietylko się wszczęły szemrania i skargi, ale wywikłały się z niej także różne stronnictwa.

Postępowała Krystyna tak, jak gdyby pragnęła, by urosło zdanie, że *niemasz u kobiet hamulca, albo rzadko kiedy, skoro zostaną rządczyniami swojej własnej woli*, i że... właśnie dla tego... zdają się nie być powołanemi od natury do samoistnego rządzenia narodami, które nie są nieubezpieczone najdostateczniejszą konstytucyą i ktora, że tak powiem, w krew i życie ich nie przeszła.

Polacy też nigdy nie ciągnęli za rządami niewieściemi, które do niczego wieść nie mogą, bo niewiasty chyba sercami rządzą — na jedno wychodzi: czy dobremi, czy złemi — a rządzić należy głową, sercu nie podległą, ale też niem nie gardzącą i od niego zasięgającą skazówek.

Tem, cośmy właśnie rzekli, wcale nie uwłaczamy zacności niewiast, które powinny panować, o swojem panowaniu nie wiedząc, a tem mniej nam o niem dając wiedzieć.

(C. d. n.)

Opowiadanie pana Jana Chryzostoma Paska.

W gościnnej komnacie, przy ciepłym kominku,
Wśród grona sąsiadów, przy starym węgrzynku,
Pan Pasek usiadłszy, pokręcając wąsa,
Coś wspomniał o morzu, dalekich wyprawach,
I w skarbie swych wspomnień ciekawych roztrząsa...

— Hej panie, nasz bracie, przezacny sąsiedzie,
Zaprawdę, że człeku to różnie się wiedzie,
Cóż jakie tam w życiu mieliście przygody?...
Wszak świateś ty zjechał z Czarneckim Stefanem,
I bijał wciąż wrogów, z tym dzielnym hetmanem,
I zwiedzał zamorskie krainy i grody...

— Panowie i bracia! — pan Pasek zaś powie —
Ot różne wspomnienia latają po głowie,
Na ławie się było i było pod ławą —
Człek w szabli się kochał — oddechał wojenką...
A z Bogiem, z Najświętszą Maryą Panienką
Zwędrował kęs świata na koniu i nawą...
Więc tedy, gdy łaska, słuchajcie waszmoście,
Dolijcie ze dzbanów — najzacniejsi goście.

— Szwed napadł na Danię — więc sroga w niej bieda..
Na prośbę Duńczyków ruszylim na Szweda,
By pomścić, co u nas Szwedzi nabroili...
I polskie chorągwie pod wodzą Stefana
Ratunek poniosły dla duńskiego pana,
A Szwedom mospanie wnet kurtę skroili...

Ztąd szabla Polaków za morzem wsławiona...
Lecz dosyć!... Chcę mówić *de propria persona*, *)
I *ergo* obcesem do rzeczy się biorę...
Więc licho — nielicho — Bóg to wie — nadało,
Że, chociaż przy Marsie, serce rozgorzało
Ku duńskiej dziewicy, *amoris furore*... **)
Ej byłaż to dziewka — dziewka iście rzadka,
I grzeczna, rozumna i biała i gładka,
Że człeka od razu za serce chwytała...
Więc nimem się spojrzał, takem ją polubił,
Żem rozum i rezon i *modestiam* zgubił...
I nie dziw, bo dziewka mnie także kochała. .
Wnet umysł rozgorzał afektem strzelistym,
I takim się uniósł zapałem ognistym,
Że umrzeć — a dziewki zapomnieć niemożna...
A pana posażna!. . *Furda* skarby marne!...
Najdroższym mi skarbem ta panna *Dywarne*,
Jej liczko nadobne, jej dusza pobożna...

Rodzice jej mieli i włości obszerne,
I srebro, i złoto, ba skarby niezmierne,
I radzi mię byli za zięcia wziąć sobie.
U panny tożsamo miłość — afekt — wiara,
Pisania mi słodkie słała przez rajtara,
I jam się rwał do niej sercem w każdej dobie...
I miałem już zostać na zawsze w tej Daniej,
I dziewkę poślubić... Lecz nie tak mospanie!
Powinność i losy afektem zrządziły...
Człek siebie umartwił — boleść stłumił w łonie,
Pomodlił się Pannie w niebieskiej koronie,
I dziewkę porzucił...

Moj ty Boże miły!
Gdy mi się dziś jeszcze wspomni ta dziewica,
To serce zaboli — łza spłynie na lica...
Lecz honor, sumienie inaczej kazało...
Dla dziewki kord złożyć, porzucić ojczyznę,
I względu już niemieć na ojca siwiznę,
Dla Paska — rycerza nigdy nie przystało...
Wiecie to panowie, braciaście szlachcice!
Ojczyzna wszak droższa nad wszystkie dziewice!...
A miłość i afekt ku polskiej koronie,
Ku błoniom rodzinnym i ku ojców ziemi,
W sercu umocnione węzłami świętszemi,
Niż afekt ku dziewce — choć gwałtownie płonie!...
Pan Pasek zamilknął...

Sąsiedzi wołali:

— Tak, tak panie bracie — z hartowanej stali
Pierś polska być musi w usługach ojczyzny!
Świętym dla Polaka bądź zwyczaju stary:
Dla miłej ojczyzny nieść wszelkie ofiary!

*) o własnej osobie.
**) szałem miłości.

Więc z czcią oglądali pana Paska blizny.
On łkając rzekł: później powiem więcej.

Nad źródłami Dniestru, 1863.

Ł.*

NA MORZU.

Z najnowszych podróży *).

I.

Dla prawdziwych marynarzy, co życie swe całe przepędzają na morzu, które wreszcie staje się dla nich światem całym, największy powab ma połów wielorybów. Jest to gonitwa i walka razem' przeplatane mnogiemi epizodami i niebezpieczeństwami nawet; a zwycięztwo przynosi nareszcie rezultata bardzo pożądane we względzie materyalnym. A człowiek jest zawsze człowiekiem; czy to na lądzie czy na morzu, goni za zyskiem, dbały wiecznie i niespokojny o to jutro, choć go nigdy pewnym nie jest. W tej gonitwie za zyskiem marynarze to przed innemi mają za sobą moralne pierwszeństwo, że sami dla siebie mało dbają o zysk, który wraz z ich życiem całem zdradliwemu oddany żywiołowi, jedną tylką kruchą deską jest oddzielony od wszystko połykającej przepaści. Walki codzienne, niebezpieczeństwo nieustanne, stają się im potrzebą, koniecznością żywota, który się bez silnych przerażających wrażeń obejść już nie może. A zysk zdobyty, to nie dla nich! Ale każdy z nich niemal ma tam gdzieś na lądzie, w jakiej chatce nadbrzeżnej, rodzinę miłą, która mu się nieraz zamarzy w snach złotych, i rozweseli i rozczuli zahartowane serce. Dla niej to on pracuje; dla niej codzień życie na szwank wystawia — by raz tam kiedyś, po latach długich, przycisnąć do serca drogie swoich głowy, i oddać im całe swe ciężko zapracowane mienie.

Lecz wróćmy do połowy wielorybów, bo statek, na którym się znajdujemy, statek amerykański, Jonaszem nazwany, żegluje właśnie w okolicy przylądku Horn, wybrawszy się na połów tych potworów, tak bogate zyski przynoszących. Był to zimny ranek marcowy, a zatem koniec lata w tej części świata ku południowemu biegunowi zwróconej. Chwilami dął zimny wiatr; a z pomiędzy dwóch chmur, z których lał się deszcz z mroźnemi krupami, padały na okręt blade promienie słońca. Dwóch majtków na masztach zawieszonych spoglądało ku morzu wytężonym wzrokiem, azali czego nie dostrzegą. Okręt płynął powoli i poważnie:

— Wieloryb przed nami!... — zakrzyknął jeden z majtków, głosem donośnym.

Głupi wieloryb sam się zdradził. Daleko na morzu płynął sobie spokojnie pomiędzy osłaniającemi go falami, sam barwą grzbietu swego podobny do ciemnego tła morza. A jest to ciekawy widok takiego potworu, którego grzbiet ogromny, mchem morskim pokryty, podobnym się zaprawdę wydaje do rzuconej na środek

*) Co tylko zająć może umysł czytelniczek naszych, i rozprzestrzenić ich wiadomości w kierunkach najrozmaitszych, należy do zakresu pisma naszego, programem orzeczonego. Postanowiliśmy zatem co lepsze, pożyteczniejsze lub ciekawsze w obcem pojawi się piśmiennictwie, udzielać czytelniczkom, bądź w streszczeniu, bądź w tłomaczeniu, bądź też w stósownem przerobieniu. Scenę niniejszą wyjmujemy z obszerniejszego zbioru podróży morskich. (Prz. Red.)

morza wysepki. Otworzy czasem paszczę, gdyby przepaść jaką, i silnym oddechem pociągnięte, prądem fal popchane, wpływają do niej całemi stadami małe rybki, które stanowią pożywienie wieloryba. A po nad nim krąży mnóstwo ptaków morskich, które przeczuwają bliskość onych stadami wędrujących rybek, smętne wydając okrzyki, skrzydłami swemi muskają powierzchnię morzą, by częścią drobnego żyru podzielić się z morskim potworem. Krzykiem ptaków zbudził się zaspany wieloryb, i nagle ze środka obszernego czoła wystrzelił ku niebu ogromny wodotrysk, rozpryskujący się w tysiączne o stu barwach kropelki. Ten wodotrysk w górę puszczony zdradził nieostrożnego wieloryba.

— Wieloryb przed nami!... — zakrzyknął majtek po raz drugi.

A z drugiego masztu równocześnie zawołał majtek drugi:

— Za nami statek, tam pomiędzy lodami.

Bo w końcu widokręgu, jakby wyspy kryształowe, pływały bryły lodu o dziwnych kształtach, zwiastuny biegunowej przestrzeni.

Pierwszy okrzyk zelektryzował całą osadę okrętową. I w mgnieniu oka popuszczano czółna, napełnione majtkami gotowymi do walki z potworem morskim. Jedni mieli owe długie i ostre dziryty, harponami zwane, drudzy długie a grube liny starannie zwinięte, i do ostrych przyczepione dzirytów, by nie mógł uciec zraniony niemi potwór. Wieloryb rozdrzemany nic jeszcze nie widział, i nic nie słyszał, choć lekkie czółna wartkim ku niemu zbliżały się pędem. I już pierwszy dziryt, wprawną rzucony ręką, utkwił w ogromnem cielsku. Potwór zraniony zadrgał cały, i gwałtownie poruszył ogromnym ogonem, aż się pofalowało morze w około. Czółna się rozpierzchły, bo nieraz się zdarza, że konwulsyjne ruchy potworu przewrócą czółno, i rzucą je w przepaść bezdenną, wraz z wioślarzami. Drugi dziryt wbił się jeszcze mocniej w grzbiet wieloryba, który uciekając przed pogonią zanurzył się nagle w głąb morza, zostawiając jeno za sobą zakrwawioną fal morskich powierzchnię. Zanurzył się i znikł na chwilę, lecz przepaść nie może, bo dziryt zabójczy nie wyjdzie mu już z ciała, a lina coraz się dalej rozwijająca nie da mu umknąć.

Podczas gdy czółna goniły za wielorybem, kapitan kazał zwrócić okręt swój w kierunku statku, którego bytność drugi majtek oznajmił. Był to statek niewielki, do wielkiego czółna podobny, o jednym nie wielkim żaglu. Omdlały, pozbawiony wszelkiej siły i wszelkiego kierunku, kołysał się mały statek na wolę fal morskich oddany. Tuż nad nim, wisiała groźna bryła lodu, cień swój olbrzymi rzucając na pokład małego statku. I była chwila, że ta bryła lodu, do ogromnej skały podobna, tak już blisko stanęła, że bać się można było, by się nie rozbił mały statek, lub nie znikł w przepaścistych falach jakie w swym pędzie wykopywała po morzu lodowa góra.

Jonasz, zgrabnie kierowany, zbliżył się wreszcie do małego statku, tak, że już wszystko na nim rozeznać można było. Smutny widok przedstawiał się oczom kapitana morskiego, którego serce zahartowane zadrżało mimowolnie. Na przedzie małego statku leżał z głową wiszącą majtek jeden, na pół nagi, bez najmniejszego ruchu. A w głębi stara jakaś murzynka, owinięta w rodzaj koca, trzymała w rękach do piersi przyciśniętą młodą jakąś i bladą dziewczynę.

— Panie James! — ozwał się kapitan Robinson, do pierwszego oficera swego — przygotuj wszystko, aby można sprowadzić tu tych biednych rozbitków.

Młody oficer skoczył z całą zgrabnością do małego statku, i jął nim kierować jak najstaranniej, aby się nie mocno oddalił od okrętu, lub o niego nie rozbił. Murzynka wydała okrzyk radosny, gdy ujrzała wielkie krzesło spuszczone z okrętu, i co prędzej pomogła młodemu oficerowi i majtkom, by jej panią umieścić w niem jak najbezpieczniej. Jej ręce, ku niebu wzniesione, zdawały się wysyłać modły dziękczynne, a oczy zwracała za krzesłem unoszącem się pomału po nad przepaścią.

— Pomalu!... ostrożnie!... — mówił pół głosem kapitan Robinson.

Młoda dziewczyna kołysała się chwilkę, i krzesło stanęło bezpiecznie na pokładzie okrętu. W pół nieżywą zaniesiono do izdebki kapitańskiej. We dwie minut później była już przy niej murzynka, otaczając ją najpilniejszą starannością; płacząc całowała ręce kapitana, który ich od pewnej wyratował śmierci.

— A tamten człowiek co jeszcze został na statku? — pytał kapitan.

— Już nie żyje!... — odpowiedział oficer; — zimny już i skostniały. Proszę mi przysłać kulę armatnią, abyśmy mu sprawili pogrzeb przyzwoity, puszczając do głębi morza.

— Czy się pan boisz, by nie wrócił do nas widmem nocnem?... Czas uchodzi.

— Ja się nie boję ni żywych ni umarłych — odrzekł pan James, — ale niechciałbym pozbawiać marynarza pogrzebu, do którego ma przecie prawo zupełne.

— Wracaj pan do okrętu!... — rzekł na to kapitan krótko i sucho. — Nie wystawiaj się pan na niebezpieczeństwo dla jednego trupa. Nie mamy czasu do stracenia.

Oficer musiał być posłusznym. Wnet też był już na pokładzie Jonasza wraz z majtkami, których miał ku swej pomocy. Mały statek zostawiony na wolę fal, kołysał się jeszcze czas jakiś to tu, to tam, aż nagle silniejszą porwany falą uderzył się o ścianę okrętu; przez chwilę rozstąpiły się fale morza, mały statek znikł nagle, i znowu było cicho i spokojnie na powierzchni morza. Trup majtka płynął jeszcze po morzu, od fali do fali niesiony, a majtkowie okrętowi oparci o maszty patrzali za nim na poły smutni, na poły przerażeni. Wszakże żaden z nich nie był pewnym, azali go nie spotka los podobny.

II.

Przez ten czas skończyło się polowanie. Wieloryb uległ pod mnogością ciosów, i już popowracały wszystkie czółna, ciągnąc za sobą ogromne a martwe potworu cielsko, które, jak było w zwyczaju, przyczepiono do okrętu. Majtkowie skoczyli na grzbiet szeroki wieloryba, i uzbrojeni w wielkie i ostre noże zaczęli krajać potworne ciało, by z niego wysmarzyć później tę cenną tłustość wielorybią. Morskie ptaki zwabione olbrzymim trupem i zapachem tłuszczu, unosiły się po nad masztami, dzikie i przeraźliwe wydając okrzyki. W tej chwili zaszło słońce, złocąc ostatniemi promieńmi swemi szczyty gór lodowych niknących w dali. Morze, zimnym i silnym poruszone wiatrem, nie przestawało odzywać się jakby jękiem przytłumionym. Noc zapadła, noc smutna i ciemna, bo jeszcze zaciemniona mgłą coraz gęściejszą. I ciemno było na całej przestrzeni, jedno tylko małe iskrzyło się światełko w izdebce kapitańskiej.

Bo tam świeciła się mała lampka bronzowa, kołysząca się nieznacznie u powały, i opromieniała niepewnym blaskiem tę ciasną przestrzeń, na której spoczywały wyratowane kobiety. Stara murzynka klęczała na słomianej macie u nóg bladej dziewczyny, leżącej na łóżku, i rękami utulała małe jej nóżki.

— Izabello! moja droga panienko!... — mówiła do niej — pozwól niech cię ogrzeję. Bóg dobry wyratował nas, nas tylko!... a drudzy znikli na zawsze. Czy słyszysz mnie moja mała panienko!... ty najdroższa, którą wykarmiłam własnemi piersiami, i własnem wypieściłam sercem?...

Izabella otworzyła oczy, położyła małą rączkę na szyi murzynki, i westchnieniem tylko odpowiedziała.

— Jam cię na własnych rękach uniosła, moja Izabelko, mój skarbie jedyny!... Nadaremnie wyło w koło nas morze głosem głodnej tygrysicy. Niech będą przeklęte te nieszczęsne przestrzenie, gdzie panują wieczne burze, gdzie morze ścina się lodem!... Gdzież nasze cudowne brzegi brazylijskie?... gdzie wiecznie świeci słońce tak ciepłe i promienne. My je zobaczym jeszcze!... moja Izabelko!... zobaczym te wieczną zielonością zaczarowane doliny!... I dla czegóż oczami błędnemi patrzysz w około; po co te westchnienia i te łzy i łkania!... kiedy Bóg dobry zesłał tych ludzi co nas wyratowali.

Tak mówiła murzynka, i w szale zapału, którym ją przejmowało tylko co przebyte niebezpieczeństwo, ledwie wiedziała co czyni. Tuląc bielutką twarz dziewczęcia do swej czarnej hebanowej twarzy, zdało się jej zaprawdę, żę jeszcze ją broni, jeszcze ratuje. Izabella drząca jeszcze po tym przestrachu śmiertelnym, ledwie rozumiała słowa piastunki, które w jej uchu mieszały się z tym hukiem i szumem rozburzonego morza.... Dziewczyna niewiedziała nawet gdzie się znajduje, i ruchem instynktowym zawiesiła się na szyi murzynki, dziecinne może przypominając sobie rzeczy.

— Już cię nie puszczę — mruczała jej stara dalej głosem jednostajnym i śpiewnym prawie, jak gdyby dziecię kołysała do snu. — Żadna siła nie wyrwie cię z rąk moich!... Matka twoja umarła w ośm dni po twojem urodzeniu, moja ty maleńka!... Chodź do łona mego jak dawniej, niech cię w sen spokojny zakołyszę.

I zaczęła naprawdę nucić jakąś dawną piosnkę smutną i przeciągłą, której towarzyszył nieustający huk niespokojnych fali morskich. Na schodach do izdebki kapitańskiej prowadzących stanął kapitan, i z niemałem zadziwieniem patrzył na tę scenę tak niezwyczajną dla starego do morza przyzwyczajonego marynarza. Było w tym obrazie coś dziwnego i sympatycznego razem; bo było jakby mgliste jakieś i niepewne przypomnienie dawno już przebrzmiałych uczuć cichego ogniska rodzinnego.

— Czy ta murzynka oszalała?... — mruczał sam do siebie — i śmieje się i płacze razem.

— Cicho! — ozwała się murzynka postrzegłszy kapitana Robinsona. — Już dobrze usnęła moja luba dziecina!... ułożę ją teraz do łóżka.

I owinąwszy dziewczynę jak najstaranniej, osłoniwszy lampę by jej światło nie raziło, wyszła na pokład do kapitana.

— Pan jesteś panem tego statku?... — mówiła do niego.

— Tak jest!... — odpowiedział z całą pedanteryą i akuratnością marynarską — jestem kapitanem i właścicielem Jonasza, przeznaczonego do połowu wielorybów w porcie Salem, w stanie Massachuset...

— Będąc zupełnym panem okrętu — mówiła murzynka dalej, spodziewam się, że nas odwieziesz do Rio de Janejro. Moja panienka nie jest w stanie znieść zimna jakie panuje w tej części świata. Biedne moje dziecko umarłoby do dni ośmiu. Czy pan wiesz, że ona całych czterdzieści ośm godzin przebyła na tej nędznej szalupie, na którą ratowaliśmy się po rozbiciu naszego okrętu — zziębnięta, zmoczona na pół ze strachu umarła. Majtek co z nami się ratował uległ; a jam tylko uratowała, ogrzywała moją złotą dziecinę. Pan nas wyratowałeś!... niech ci to Bóg nadgrodzi — ale do połowy tylko!.... bo trzeba abyś nas odwiózł do naszej pięknej Brazylii. Czy mnie nie rozumiesz panie kapitanie!... dla czegóż milczysz?...

Kapitan doskonale ją rozumiał, ale on niedawno przybył w te strony sprzyjające zwykle połowowi wielorybów, i nie myślał wcale oddalić się. Połów wielorybów to była prawdziwa namiętność kapitana Robinsona. Za nic by się nie ruszył z tych miejsc, póki by nie został zapełnionym cały ładunek okrętowy.

— Ojciec mojej panienki don Jose de Nunchas, wyjechał z Lima przed miesiącem jeszcze, bo go nagliły rozmaite interesa, nie czekając na córkę, która była słaba wówczas.

— Pilnuj tam przy sterze! — zakrzyknął kapitan.

— Jak się dowie, że nasz statek się rozbił, niewiedząc co się z córką stało, umrze z rozpaczy.

— Puszczaj żagle!... — wołał kapitan, nie zważając na murzynkę.

Zrobił się ruch na pokładzie; kapitan pobiegł na przód okrętu, a murzynka zeszła do izdebki napowrót, mrucząc i przeklinając te twarde serca marynarzy...

— Nawet mi nie odpowiedział!... — powtarzała ciągle.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Większą część przedstawień po świętach przejść możem pobieżnem wyliczeniem sztuk odegranych; żadnej bowiem nie zdybujem nowości. Szereg tych przedstawień rozpoczęła znana już, na teraz odnowiona *Studnia artezyjska*. Jest to jak wiadomo komedyjka ze śpiewkami, i różnemi figlami, dość wesoła i nie bez dowcipu choć sowicie pospolitego. Z tem wszystkiem, że to było w drugi dzień świąt, publiczność zgromadziła się liczniej, niżeli kiedykolwiek w tym kursie, a że przedstawienie było wcale staranne, zadowolenie szczere powszechności tłómaczyło się rzęsistemi oklaskami.

Powtórzono dalej: *Karlińskiego* i *Wesele przy latarniach* (jednego wieczora). Przedstawienie nie wypadło ani lepiej ani gorzej jak pierwszym razem. Przedstawienie *Karlińskiego* potwierdziło to przekonanie, że utwór ten dramatyczny, mimo ładnej dykcyi, zająć nie jest w stanie, i widzów pozostawia zimnych, jeżeli nie znudzonych. Odznaczyli się jak pierwej: p. *Królikowski* w roli *starego Karlińskiego*. a panna *Biedrońska* w roli młodziutkiego syna jego. O *Weselu przy latarniach* mieliśmy nadzieję, że znacznie lepiej wypadnie; tymczasem tak nie było. Te same niedostateczności i w głosie śpiewających—czemu oczywiście nie winni—i w oddaniu całości ukończonem powtórzyły się znowu (duet wdów prześliczny wypadł bardzo słabo), i przekonały nas, że przy siłach dzisiejszych operetki są prawie niemożliwe.

O *Napoleonie z Polakami w Hiszpanii*, nie da się także wiele powiedzieć. Jest to sztuka sama w sobie wlekąca się długo i dość nudnie, bo bez interesu znakomitego. Utrzymują ją tylko drobne szczegóły owych wszystkich pamiątek, które naród nasz łączą myślą i uczuciem nawet z epoką wielką Napoleona, epoką na-

szych poświęceń i nadziei — próżnych niestety!... Nazwisko Napoleona przypomina nam mimowolnie to całe pokolenie bohatyrskie legionowe, co krwią swą na wszystkich krańcach świata przelaną, chciało odkupić grzechy narodu całego; to pokolenie przechodowe między upadkiem narodu politycznym, a jego odrodzeniem moralnem, które aż w nasze przeciąga się czasy. Interesu też przedstawieniu podobnych sztuk na scenie krakowskiej dodaje: pewne podobieństwo, mniej lub więcej dobrem ucharakteryzowaniem zbliżone, tutejszego dyrektora p. *Pfeiffra* do portretów Napoleona. I przyznać potrzeba, że p *Pfeiffer* umie do tego podobieństwa zastósować grę swą wcale dobrą. Zresztą wszystkie prawie role są nijakie, prócz chyba roli starego grenadyera polskiego, którego też p. *Królikowski* oddaje znakomicie. Jest jeszcze jedna tylko rolka kobieca, najwięcej może nijaka, bierna i płaczliwa od początku do końca, w której jedna jest tylko chwila nieco żywsza, kiedy rozpaczą wiedziona głośno do Polaków przemawia, jako darmo krew swą za Napoleona przelewają. Tę chwilę i te słowa panna *Biedrońska* potrafiła podnieść z takiem czuciem i zapałem, że porwała za sobą całą publiczność wynadgradzającą artystkę jak najszczerszemi oklaskami.

Był jeszcze benefis panny *Micińskiej*, o którym to tylko chyba powiemy, że się nieźle wcale udał dla benefisantki. Bo o *Kazimierzu i Bruździe*, rodzaju melodramatu, możnaby bezpiecznie zamilczeć. Jest to utwór wielce moralny; wierszami czyli raczej rymami napisany przez Majeranowskiego, który był razem autorem i cenzorem. To też warto zaprawdę słuchać i czytać, jak w jego rymach przeszłość i ojczyzna polska rozpuszczone są wodą lojalnej cenzury. Jest to wzór do studyowania, by jak ulegalizować patryotyzm, i nie popaść pod ostre nożyce. O odśpiewanej przy tym benefisie pięknej piosence Lubomirskiego: Pochód kozacki, to tylko powiemy, że p. *Baranowski* wcale nieźle śpiewał; głos jego kształci się widocznie.

Lecz dwie jeszcze w tym szeregu przedstawień mniejsze sztuczki podnieść musimy. Najprzód *Przysługę*, komedyjkę jednoaktową prawdziwie francuską, bo pełną życia, humoru i lekkiego dowcipu, z intrygą jeszcze lekszą, gdyby bańką z niczego prawie wydmuchniętą. Wspominamy zaś o niej dla tego, że była w ogóle wybornie odegraną, z życiem, i z tem *ensemble*, bez którego podobny utworek udać się nie może. Mianowicie panna *Biedrońska* i p. *Królikowski* okazali sią w grze swojej prawdziwymi artystami. Publiczność umiała też ocenić ich grę wyborną i prawdziwie mistrzowską i nagradzała istnym szturmem oklasków.

A powtóre: *Nowy rok*, na nowy rok odegraną komedyjkę wesołą ze śpiewkami. Krotochwila ta znana; niema więc co o niej mówić, ale jest w niej rola *Magdy*, prostej dziewki, krakowianki, służącej w karczmie. Rolę tę oddaje pna *Hofman* tak żywo, tak doskonale, z taką prawdą charakterystyczną, że prawdziwie porywa i zachwyca wszystkich. Niemając głosu śpiewa nawet doskonale w pół wygłaszając swe proste zwrotki. Rola ta, w swej całości najzupełniej ukończona, powinna być wskazówką dla znakomitego talentu artystki, aby się trzymała ról charakterystycznych. W tem samem przedstawieniu odznaczył się zaraz po Magdzie p. *Dembicki* w roli Józia, najprzód wybornem scharakteryzowaniem się, a potem wyborną grą i wyśmienitem odśpiewaniem zwrótek wcale dowcipnych, które sam sobie skomponował. Niemożemy jak tylko powtórzyć, że p. Dembicki jest artysta utalentowany, i bardzo pożyteczny, bo szczerze pracowity i starany.

Najważniejszemi wreszcie były dwa występy gościnne p. *Jasińskiego* z Warszawy. P. Jasiński jest to artysta znany powszechnie i bardzo zasłużony nietylko jako aktor, który lat trzydzieści z okładem pracował na scenie polskiej, ale i jako dyrektor sceny warszawskiej bardzo pracowity, któremu zawdzięczamy całe niemal dwa pokolenia najlepszych naszych młodszych artystów i artystek, przez niego na scenie warszawskiej nauczonych, informowanych i kształconych. Lat już dziesięć nie występował na scenie, i wdzięczni mu serdecznie jesteśmy, że dla starego grodu krakowskiego zrobił ten wyjątek, i dał nam sposobność poznać swój talent znakomity. Występywał on po raz pierwszy w *Panna mężatka, Korzeniowskiego* jako *major*, i w *Gadule* jako *Gadulski;* po raz drugi w *Trzydzieści lat życia szulera,* jako *Warner.* Rozpisywać się szczegółowo nad każdą z tych ról dobrze znanych nie będziemy, powiemy tylko w krótkości, że we wszystkich, a najgłówniej w *majorze*, okazał się w całej świetności silny i pełny jeszcze życia tatent artysty. Cechą charakteryczną gry jego jest naturalność i swoboda, dowodzące właśnie wysokiego jego wykształcenia artystycznego i żywości niesłychanej, zadziwiającej w jego wieku, żywości, że się tak wyrazimy, prawdziwie francuskiej, co w komedyach mianowicie — przyzna każdy — najwyższą jest zaletą, bo Francuzi w komedyi są niezaprzeczenie największymi mistrzami. Słyszeliśmy głosy zarzucające panu Jasińskiemu, że wybór sztuk do występu nie był zupełnie stósowny. Owóż zrobimy uwagę, że repertuar warszawski zawsze, a mianowicie w czasach późniejszych, był bardzo ograniczony. Trudno zaś żądać od p. Jasińskiego, aby w tym wieku mianowicie, występując przez grzeczność dla tutejszej publiczności i dla kolegi dyrektora, stósował się do repertuaru krakowskiego. Publiczność nagradzała artystę najszczerszemi oklaskami i częstem przywoływaniem. Uważaliśmy w *Trzydziestu latach*, że z tych przywoływań najwięcej skorzystała pani *Bendowa*, bo jakiekolwiek wołano nazwiska, występowała ciągle, by dziękować za siebie i za drugich. Lecz przyznać potrzeba, że publiczność nie była tak licznie zgromadzona, jak by się tego można było spodziewać. Zdaje nam się, że powodem do tego było podniesienie cen, czego nie myślimy koniecznie potępiać, ale chcemy tłumaczyć naszą publiczność — po prostu powiedziawszy, sowicie golą. Dodamy jeszcze uwagę — a i to mogło wpłynąć na mniej liczne zebranie — że *panna mężatka* mianowicie byłaby daleko ponętniejszą, i byłaby daleko lepiej poszła, gdyby główna rola *Cecylii* była w ręku której z tutejszych artystek. Panna *Łapińska*, która ją odegrała, do ról komicznych głównie nie nadaje się zupełnie. Jest zanadto monotonna i sztywna, i za mało ma życia. W tej mierze zdanie publiczności jest już wyrobione, i nie pomogą ani kształtna postawa, ani wytworność strojów, któremi się panna Ł. odznacza.

Niebieskie rękawiczki.

(Powiastka jakich wiele).

— A niechże to licho porwie; siedzę od półtory godziny, myślę i myślę, gryzę pióro, że aż mnie zęby bolą, psuję już czternastą ćwiartkę papieru, pisząc to okropne, to śmieszne tytuły powiastki, którą mam zabawić albo też do łez poruszyć szanowne czytelniczki. Ale wszystko nadaremno. Rozpacz mnie ogarnia. Mierzę szerokiemi kroki szczupłą moją izdebkę, wyzieram oknem, ale niestety, nieznośny upał, choć to dopiero początek

maja, wyludnił zupełnie ulicę, nic oryginalnego nawet na próbkę nie ujrzysz. Tylko od czasu do czasu przebiegnie ten kawał ulicy, który mojem okiem objąć mogę, jaki dandy spieszący na proszony obiadek; przekulawieje jaki dziad, patrząc łakomo na storami zapuszczone okna i wietrząc nosem, zali go nie zaleci woń pieczeni konsumowanej przez szczęśliwych mieszkańców, która stojąc przed oczami duszy jego (jak mówi filozof), zdołałaby go ukołysać gdzie w kąciku na plantach w sen złoty, któryby zapełnił jego zgłodniały żołądek — prawda, że tylko za pomocą umysłu, ale za to królewskiemi potrawy i napojami. Znowu po chwili dorożka, mieszcząca w swem wnętrzu szczęśliwą rodzinę, pragnącą użyć świeżego powietrza, przeleci (jeżeli się godzi tak ptaszo uprzymiotnić konie dorożkarskie), i zniknie na zakręcie... zkądże wezmę tematu do powiastki? a tu dałem słowo honoru, że napiszę, a to w jak najkrótszym czasie.

Pauza... (pauza długa) ale ważna, siadam, zakładam nogę na nogę, oba łokcie wspieram na prawem kolanie, zanurzam dziesięć palców w gęstej czuprynie — (bo nie chwalący się, mam bujny głowy porost i nawet, jak mi mówiono... piękny) — i myślę... oj! myślę... o myślę. Jak w kalejdoskopie za każdem poruszeniem nowe tworzą się desenie, tak moja nieszczęśliwa głowa za każdem swojem kiwnięciem nowe tworzyła obrazy: tu wiejski domek w ustroniu, przed nim dąb, lipa, grusza lub coś podobnego, bo tam na tem niewiele zależy; pod którymkolwiek z tych drzew ławeczka darniowa, na niej para kochanków, tak czule na siebie patrzących, tak serdecznie się za ręce ściskających, że ja, marzący tylko o tem, serdecznie westchnąłem; na ganeczku przed domkiem siedzi mama panienki, ona poczciwa, szczęśliwa, płacze uszczęśliwiona szczęściem szczęśliwych swych dzieci... lecz nagle pokazuje się na starością pochylonym płocie twarz ogorzała, pod nosem ogromne wąsiska, jak miotły, opadające na dół, wargi tak dumnie i złowieszczo do góry podniesione, a brwi tak srogo na dół spuszczone, że się prawie wąsów dotykają i jednę całość, niby olbrzymi zaróst tworzą. Ręce, które z tą twarzą do jednej figury należały, dzierżą niezmiernie długą zardzewiałą lufę. Kochankowie spostrzegają tę figurę, kochanka wydziera się z objęć najdroższego krzycząc przeraźliwie:

— O Bogi, to ojciec — i pada na ziemię.

Kochanek, zakrywając oczy rękami, woła z przerażeniem: „To ty straszliwa podziemna facyato!“ — nogi mu się chwieją, choć nie należą do najcieńszych, chce albo się naprzód rzucić, albo w najgorszym razie dać drapaka, ale strach przykuwa go do ziemi, chwieje się i opiera się o drzewo. Mama na ganku mdleje, wyciąga ręce do srogiego tyrana a swojego małżonka, dostaje najokropniejszych spazmów, krzywi się, jęczy, płacze, upada na ziemię. Srogi tyran przytłacza, stojąc ciągle na płocie, ogromne wąsisko kolbą do prawego policzka a wykrzyknąwszy zgrzytając zębami: „Ha nędzny potworze, nędzniejszego potwora, mojego największego nieprzyjaciela starego Pankracyusza, pociąga za cyngiel:

Błysk... huk... dym... i jęk... stęk... pisk..., wszystko naraz jak groch z kapustą.....

Głowa moja opadła, nowy obraz: Owóż pałac, w nim bogate salony... ale pocóż będę nudził czytelniczki salonami, dość, że takich obrazków przesunęło mi się kilkanaście, ale cóż z tego, kiedy bicza z piasku ukręcić nie mogłem. Mnóstwo obrazków, ale jak tu zeszyć razem, żeby całość stanowiły. Prawda, jest na to rada, każdy obrazek może stanowić jeden rozdział, a okrasiwszy te rozdziały rozmaitemi tytułami, jak na przykład: Rozdział pierwszy: „Serca bijące“, drugi: „Już tylko jedno bije“ trzeci: „I to bić przestało“ a czwarty: „Krzyżyk na mogile“ i t. d. i t. d. możnaby sformułować dość gruby tomik, przy którego czytaniu najtwardszego serca kobieta łzy by ronić musiała, a serce przyciskać prawą ręką, aby nie pękło lub z łona nie wyskoczyło.

Ale taką radę odrzuciłem, choć byłem w wielkim kłopocie.....

I cóżbyście państwo byli czynili w mojem położeniu? bo ja przychodząc powoli do przekonania, że nic a nic do ludzi podobnego nie wymyślę, machnąłem jedną i drugą ręką, ziewnąłem nie wiem czy z desperacyi, czy innej jakiej przyczyny, nałożyłem fajeczkę, a położywszy się jak najwygodniej na sofie, puszczałem kłęby dymu, wpatrywałem się w niego i marzyłem o... o nie myślcie szanowne czytelniczki, że o jakiej anielicy... nie, nie, uchowaj Boże, marzyłem o niebieskich migdałach. Wkrótce i fajka z ust wyleciała, oczy się zamknęły, a śliczny Morfeuszek zaczął mnie głaskać po twarzy, po brodzie, a tak udobruchanego ujął mnie niecnota silnie w swoje objęcia, ale to tak silnie, że nie słyszałem wcale jak się drzwi otwarły i ktoś wszedł do pokoju.

(C. d. n.)

NOWY ROK.

Sama natura rzeczy uczyniła dzień nowego roku uroczystym. W tym dniu obchodzili Rzymianie święto Janusa i Streny, a zwyczaj składania darów i życzeń (powinszowań) bardzo wcześnie znany był w rzeczypospolitej rzymskiej. Klienci, mianowicie, byli obowiązani swoim patronom patrycuszowskim przypominać się jakim małym podarunkiem, którego później cesarze dopominali się od wszystkich mieszkańców Rzymu. Kaligula noworoczne dary nawet sam przed podwojami swego pałacu odbierał. Co do powinszowań, te w Rzymie miano już bardzo wcześnie w zwyczaju składać osobom urzędowym. Znali też i starodawni Niemcy zwyczaj podarunków noworocznych, który się najdłużej utrzymał w Frankonii i Bawaryi. W początkach chrześciańska obchodzili wierni dzień nowego roku postem, dla odróżnienia się od pogaństwa, oddającego się w tym dniu nieprzyzwoitym uciechom. U nas było i jest poniekąd w zwyczaju, że na nowy rok możniejsi i starsi, uboższym i zależnym od siebie dary dawali i dają. Królowie i panowie obdarowywali dworzan swoich to futrami drogiemi, to pasami, szablami, wierzchowcami, rzędami. Zygmunt August, rozgniewany na swego trefnisia Stańczyka za jakiś niewczesny żart, nie dał mu pewnego razu zwykłego stroju. Stańczyk, opuściwszy głowę smutnie na piersi, stał do nikogo mowy nie zwracając, podczas panowie królowi i sobie nawzajem winszowali nowego roku. Zapytał go któryś o przyczynę takiego zachowania się, a trefniś odrzekł tak, że go król usłyszał: „u mnie rok nie nowy, bo suknia nie nowa.“ Rozweselony temi słowy król, kazał mu wydać przeznaczony dla niego upominek.

Po zaprowadzeniu chrześciaństwa podarunki noworoczne wyrugowano w wielu krajach wprowadzonemi na Boże narodzenia, wyjąwszy we Francyi, gdzie tych ostatnich nie znają. U nas utrzymują się, jakeśmy już rzekli i noworoczne, i znane są podczas godnych świąt dawane, szczególniej parobkom, pod nazwiskiem kolendy. W Anglii te ostatnie są bardzo w zwyczaju. Kalendarze, noworoczniki, i u Niemców tak zwane książki kieszonkowe (Taschenbücher) wiążą się z nowym rokiem i pozyskały w krajach germańskich wpływ na średnie klasy i na lud, od którego im u nas jeszcze dosyć daleko, chociaż w ubiegłych wiekach kalendarze krakowskie daleko za granicami rzeczypospolitej i tak słynęły, że po te nasze lata nawet w Wiedniu corok wychodzi *Neuer Krakauer Kalender* dla starodawnej wziętości swojej nazwy.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**